ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VIII. Warszawa, dnia 11 marca 1916 roku. № 11.

Andrzej Strug. POWIEŚĆ.

Dzieje jednego pocisku.

30

Próbowali ludzie działać i pokorą, nie tą prawdziwą, która dwie matki ssie, ale tą obłudną, przymuszoną, pod którą tai się wściekły, niechrześcijański bunt. Poniżali się krawcy-chałupnicy, skamłali, po nogach całowali swoich panów.

Pan Żołopowicz, właściciel wielkiego składu gotowych ubrań męzkich, wiedział, że to nie ta prawdziwa pokora, co niebiosa przebija, i ustąpić nie mógł.

— Widzisz, mój panie Baćka, nie trzeba było robić rewolucyi, nie trzeba było na łajdactwa się puszczać. Mówiłem, uprzedzałem, błagałem. Ale ty jeden z drugim wolałeś słuchać tego żydka, co to go żydzi hurtownicy podesłali na zgubę polskiej sprawy i polskiego przemysłu, niż mnie, twego przyjaciela i ojca. Katolik jesteś, panie Baćka?

— Katolik, panie, człowiek jest grzeszny, wielmożny panie.

— I ja jestem katolik. Czemużeś ze mną, ze sprawą polską nie trzymał?.

— Już ja na wieki wieczne nauczony, wielmożny panie. Ale jak tego Pana Boga kocham i jak Polski pragnę — nie można za tę cenę wyżyć. Jak pragnę szczęścia, nie można, żeby się człowiek na śmierć zamordował i w nocy nie spał, to nie można. Nie można i nie można. Dawniej my brali od kamizelki...

— Mój Baćka, nie gadajmy, co było dawniej. Dawniej był ład, był przemysł, był kredyt, człowiek był pewny życia i mienia. A teraz co? Przewróciliście wszystko do góry nogami, zrujnowaliście przemysł, zrujnowaliście i mnie, a teraz chcesz dawną cenę za kamizelki. Nie mogę. Katolik jesteś?

— Katolik, wielmożny panie!

— I jam katolik. I serce mam i litość w sercu mam, ale jak nie można, to nie można. Chcesz, żeby ubraniami handlowały w Warszawie same żydy? Nie chcesz. Dobrze. To nie można odbierać swojego. Sprobuj. Idź do żyda — może ci będzie lepiej.

Był Baćka u żydów, ale i to mu nie pomogło. Sytuacya była przykra. Pan Żołopowicz nie mógł, ale i Baćka już nie mógł. Pan Żołopowicz był zacny majster, ale nie mógł. Baćka był strasznie pracowity krawiec, ale tego już nie mógł żadną miarą. Pan Żołopowicz miał jedną tylko, ale niewzruszoną ideę: stworzyć potężny polski i katolicki handel gotowemi ubraniami. Baćka miał jedną, ale jeszcze niezłomniejszą ideę: żyć — byle jak, ale żyć. Sytuacja była trudna. Ale życie ze wszystkiem sobie poradzi. Przejdzie po ludziach, narobi zamętu, przewróci wszystko do góry nogami — ale poradzi sobie jakoś.

Poradziło sobie życie i z trudną sprawą krawiecką. Domyślili się nareszcie krawcy, skąd pochodzi ich klęska. Późno przyszło uświadomienie, ale z rozpaczy a głodu i do rozumu dojść można. Zaczęły się odzywać głosy mądre.

— Pozawracały nam głowę inteligienty, partye, delikatne panny! Niech sam robotnik o sobie stanowi, nie jakiś Komitet centralny! Precz z inteligientami!

Hasło to rozległo się wówczas, kiedy inteligientów już dawno zabrakło, i w istocie rzeczy za to też głównie im wymyślano. Bez inteligientów niewiadomo było, co robić, ale przynajmniej już nikt nie przeszkadzał.

Zaczął się wielki, żywiołowy strejk krawiecki. I żydzi i katolicy ratowali się, jak mogli, i robili, co tylko mogli. Psuto towar, prano majstrów na ulicy i po domach, prześladowano w najokrutniejszy sposób łamistrejków, zaprowadzono teror niebywały. Pełne były gazety straszliwych opowieści, pełne zgrozy były dusze dobrze myślących obywateli i pełen był Ratusz krawców...

Między innemi wybito wszystkie szyby w wielkim magazynie pana Żołopowicza. Uczynił to własnoręcznie Rewilak, który pomagał teraz krawcom, jak przedtem pomagał szewcom. Baćka sam go naprowadził i stał po drugiej stronie ulicy, patrząc z rozkoszą na szkodę tyrana. Rozjadł się nareszcie suchotnik i był niepohamowany w zemście. Żona się o niego bała i chwilami myślała, że zwaryował. Gadał mowy, podbudzał ludzi, raz nawet porwał się do niszczenia towaru u łamistrejka; co prawda winowajcy w domu nie zastał, ale łamistrejk miał tęgą babę. Terorysta wrócił do domu sprany, przetrącony, podrapany na twarzy i płaczący ze wściekłości i wstydu. Musiał się położyć do łóżka na pociechę żony, która myślała sobie, jak to żona: Jak mamy wygrać, to wygramy i bez niego, a przynajmniej przeleży najgorszy czas i do kozy nie pójdzie!

Kiedy Rewilak powrócił do domu ze swojem szczęściem, majstrowi zrobiło się gorzej. Wyplatał w gorączce różne okropności i nie mogło być z nim żadnej rozmowy. Ciężko było samemu z tą dobrą nowiną. Należało się naradzić — trzeba się było wygadać. Majstrowej powiedzieć tego nie śmiał, boby go wygnała z domu.

Dopiero nazajutrz, kiedy gospodyni gdzieś wyszła, zwierzył się chłopak przed krawcem ze swojego szczęścia. Suchotnik długo oglądał bombę i westchnął:

— Żeby tak każdy z naszych krawców miał po jednej takiej sztuce, toby wnet nastał ład na świecie...

idzie ten człeczyna wymizerowany z gołemi rękami... Jeden stójkowy prowadzi do ratusza dwudziestu naszych, baba, jak się uda zażarta, sponiewiera naszego krawca, miotłą go wymiecie ze wszystkich schodów... Czuję, że idzie moja śmierć. Zjadły mnie kamizelki, ta djablica żelazkiem mnie uwaliła prosto w piersi... Czas mi na Brudno, czas...

— Czas i na mnie, towarzyszu. Po prawdzie, to żyć nie jest warto, żeby tak zanadto...

— Prawda to, chłopcze. Cieszę się, że tych dzieci nie zostawiam.

— A jak wy myślicie — warto na komisarza z tem pójść? To jest interes pewny, tylko czy warto?

— Jak iść, to tylko na tego z cyrkułu na Podwalu. On głównie naszych wybierał, w cyrkule kazał sołdatom prać naszych. Na niego warto. Wszyscy krawcy będą ciebie wspominać.

— Nie jedni krawcy w Warszawie. Jabym chciał, żeby wszyscy pamiętali...

— To trzeba chyba Skałona. Podobno wyjeżdża na miasto?

Dalszy ciąg nastąpi.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

Król.

Od wnuczki J. I. Kraszewskiego, p. K. Łozińskiej, otrzymujemy ze spuścizny rękopiśmiennej nigdzie nie drukowany, zabroniony przez cenzurę rosyjską, wiersz tego znakomitego pisarza. Zamieszczamy go w nadziei, że obudzi żywe zainteresowanie wśród szerokich kół naszych czytelników.

Zimowa burza, wśród śnieżnej zamieci
Świata nie widać, z białych tkany sieci
Całun zastygłą ziemię upowija...
A wicher po niej — to pełza, jak żmija.
To piersią o nią uderza rozdętą
I drzewa zgina i gałęzie łamie,
Wyje w obłokach, nurza w dolin jamie.
Ustaje — znowu bucha siłą wściekłą,
Jakby szatanów wyzwoliło piekło,
By zniszczyć wszystko, czemu Bóg dał życie.
Noc. Na wybladłym niebiosów błękicie
Śnieżnemi kłęby zwijają się chmury.
Wiatr je w dół ciśnie — to wznosi do góry.
Czasem poszarpie — to źrenicą bladą
Odbłyski światła na ziemię się kładą
I czarnym cieniem przygniecione gasną.
Brzeg się Niemnowy — roztacza tu jasno.
Lub niknie mętnym zasnuty obłokiem —
Po ścianach jego, ledwie dojrzeć okiem —
Czepia się miasto... górą zamek czarny —
Katafalk — u stóp ciężki mur cmentarny.
Podwórca nagie, bez życia, we mroku.
Jedno światełko, gdzieś w górze — na boku.
Drżące, gromnicy jakby blaskiem miga
W sypialni króla. Stary okiem ściga
W Plutarcha księdze bohaterów dzieje.
Siebie w nich szuka, nad sobą boleje.
Są męczennicy, wszak z nimbem u czoła!
Święci! lecz jego nic podnieść nie zdoła —
Upadł tak nizko i błoto go plami —
Bezsilny, zbladły zalewa się łzami...
Tron mu pręgierzem, korona — cierniową.
Ręka kochanki miecz trzyma nad głową,
Więzień — dopóki hańby wiekuistej
Sam przeciw sobie złaman nie podpisze.
I wzrok mu łzami zaćmiewa się mglisty —
A pierś ostatkiem życia tylko dysze.

. . . . . .

Nad starej księgi jakiejś otworzoną kartą
Siedział król z głową smutnie na rękach opartą.
Z twarzą pożółkłą, z licem straszliwie pobladłem,
A wśród nocy sam zdał się — północnem widziadłem.
Oczy mu stały słupem, bez życia we wzroku.
Bezmyślnie źrenicami zatopił się w mroku...
I dumał... czoło marszczył, jak wiatr marszczy wody,
Usta drgały i znowu kamieniał, jak wprzódy.
Na przemiany drażniony, to stygnąc obumarłą duszą.
Leciał w przepaść lub cierpiał obecną katuszą...
Aż zwolna mary wspomnień we mgle się rozwiały —
Oczy blask utraciły — usnął skamieniały.
Widział siebie, lecz nie tym, jakim był za młodu.
Starcem zniedołężniałym, u końca zawodu.
Za nim tron wywrócony, a przed nim korona
Na ziemi, u stóp jego, blaskiem otoczona,
Nie ta, którą on nosił z Cesarzowej łaski —
Boża, stara, świętemi ozłocona blaski...
Izba była ogromna... cała jak w obłoku,
Ścian ni sklepień jej dojrzeć niepodobna oku.
Niekiedy z jej ciemności schodzą te zasłony
I widać wokół złote, rozstawione trony,
A na nich areopag, ze strasznem obliczem...
Siedzą męże w milczeniu jakiemś tajemniczem.
Zadumani, a wzrok ich, gdy na niego pada,
Razi go, jako piorun — jako sędzia — bada...
On stoi, a na szyi zdjętej strachu mrozem
Czuje stryczek... to kat mu opasał powrozem...
I łzy cieką na piersi, a jak ogień palą —
Cicho, serce mu bije burzy strasznej falą,
Oczy by chciał zamrużyć, by uniknąć wzroku
Strasznych sędziów, nie może ani ruszyć kroku...
Ani powiek opuścić, ani wyrzec słowa...
Winowajca! Wtem z tłumu wstała postać nowa:
Mąż był wychudły — olbrzym, z wyschłą, łysą głową.
W ręku miał kartę wielką, z niej rozpoczął słowo:
— „Coś uczynił z tym skarbem, który ci zwierzono?
Mów, coś zrobił z tym tronem, co z twoją koroną?
Co z tą szatą purpury — powalaną błotem,
Co z mieczem wyszczerbionym, co z tem berłem złotem?
Gdzie spuścizna twych ojców, gdzie ziemia, gdzie prawa,
Gdzie siły? Kędy cnoty i wielkość i sława?
Mów!" Chciał usta otworzyć, na siedem pieczęci
Srom je zawarł i w czarno schmurzonej pamięci
Nie było myśli, w piersi zabrakło oddechu —
Pokutnik nie miał siły przyznać się do grzechu...
I stało się milczenie wielkie, a sędziowie
Wzrokiem, by piorunami, bili mu po głowie —
I nikt z tych, co z nim byli — nie stanął w obronie —
Przy nim, przy obalonym pusto było tronie...
Aż szmer, jak wiatr z obłoków, przeleciał od góry:
„Dla utrefionej głowy korona jak cacko —
Ty z ołtarza ją zdjąłeś ręką świętokradzką,
Chciałeś ją mieć ozdobą na bezmyślne skronie.
Myśmy w takiej, jak Chrystus, rządzili koronie.
Złota jej cierń się bolem w ciało nasze wpiła —
Nie ozdobą, lecz męką nam korona była,
Za to dziś zbezczeszczona leży i rozbita,
A ręka ją zbójecka z czoła twego chwyta"...

4—16 czerwca 1884 r. *Józef Ignacy Kraszewski.*

SŁAWA.

Lalusia nagromadziła w spojrzeniu swem fluid hypnotyczny i oblała nim młodego acz nieczułego sekretarza. Ale to nie pomogło.

Redaktor przyjął ją tak, jak zwykle redaktorzy przyjmują młode i ładne a wyżej aspirujące niewiasty.

Przejrzał „Historyę pierwszego pocałunku" i dał do zrozumienia Lalusi, że chętnie byłby powodem wzbogacenia literatury o „drugi" pocałunek.

— Wszystko zależy od pierwszego — rzekła dyplomatycznie Lalusia.

I nowelkę wydrukowano. Moment ten był era w życiu rodziny Lalusi. Sama ciocia Felicya zakupiła sto egzemplarzy kuryera, któremi obdarowywała swoich wszystkich znajomych, a także młodych farmaceutów z apteki męża. Pani Ludwika z niedowierzaniem przyjęła córki wstęp do literatury, a Niuta na sam widok tytułu zemdlała, zemdlenie temi słowy poprzedzając.

— Ona nigdy nie wyjdzie za mąż...

A Lalusia oddała się słodkim marzeniom o sławie.

Ale między pierwszą nowelą, wydrukowaną w kuryerku, a sławą leży taka przepaść, jak między pocałunkiem pierwszym a przedostatnim.

Śniła więc sobie Lalusia o jakimś wspaniałym dramacie, który napisze... i jak to potem wieniec laurowy zasłużonej autorce na scenę wniosą, jak ten sekretarz, pełen wzgardy, przyjdzie nazajutrz do niej na interwiew, jak po królewsku go potraktuje... Sny tak pochłaniały życie Lalusi, że na twórczość nie miała czasu.

Niecierpliwiło to realnie myślącą pani Ludwikę.

— Skoro już jest literatką, niech pisze.

Na to pani Felicya odpowiadziała:

— Talent, dar boski, nikt się nie może zmusić do pisania.

Marzenia, nawet najszczytniejsze, posiadają tę cechę—że wkońcu nużą. I Lalusia przestała śnić o oklaskach. Wstąpiła do stowarzyszenia sufrażetek, co złym jest omenem, i zajęła się sprawami dobroczynnemi. Poprawił się jej humor i apetyt — i znowu była taka zwyczajną panną.

Ale niezbadaną jest droga przeznaczenia i życie bywa romansem. W chwili najmniej spodziewanej staje się coś niebywałego, wstrząsającego, coś, co motywuje szeregi nudnych i bezbarwnych rozdziałów powieści lub życia, poprzedzających taki fakt.

Któregoś pięknego zimowego poranka wpadł Lalusi do głowy koncept napisania rymowanej bajeczki do humorystycznego pisma. Podpisała bajeczkę imieniem i nazwiskiem— albowiem takich dzieci panny się nie wstydzą, i posłała. Zdziwiła się bardzo, gdy bajeczkę swą ujrzała nazajutrz wydrukowaną, a zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy tegoż wieczoru otrzymała list od wydawcy, zapraszający ją na stałą współpracowniczkę pisma. Odtąd Lalusia dziwić się nie przestawała: spotykały ją same niespodzianki. Nazajutrz ojciec wrócił z banku z wiadomością, że córka jego jest bardzo dowcipna. Wszyscy znajomi podchodzili na ulicy do sióstr i cioci Felicyi, winszując rodzinnego talentu; ale nietylko znajomi: imię autorki aktualnej i dowcipnej bajeczki stało się nagle głośnem w całem mieście. Konkurencyjne pisma humorystyczne zasypały Lalusię szeregiem korzystnych ofert. Pewien modny prelegent wyraził się o niej publicznie, że odrodziła humor polski i że jeden jej dowcip posiada większe znaczenie dla społeczeństwa od twórczości Deotymy. Bajeczkę tę cytowali wszyscy, przy każdej okazyi i bez okazyi, uczono się jej na pamięć. Jednem słowem z dnia na dzień stała się Lalusia popularną, jak gwiazda kinematograficzna. Dumą wezbrało serce cioci Felicyi, która uważała się za duchową matkę Lalusi. Cała rodzina jęła się szczycić domowym talentem Lalusi?

Poznała, że sława nakłada na nią nowe obowiązki, stokroć trudniejsze od tych, jakie miała, będąc narzeczoną poety. Wszędzie, gdzie tylko się pojawiła, obsypywano ją komplementami, a następnie oczekiwano, co ona powie, jaki dowcip padnie z jej ust, jaki aktualny aforyzm. Lalusia czuła to; była zrazu ogromnie zażenowana i milczała. Następnie jednak przekonała się, że cokolwiek rzekła, miało nowy i niespodziany urok. W każdem słowie dopatrywano się dowcipu, zręcznej aluzyi lub niedopowiedzenia! Najbanalniejsze zdania komentowano i powtarzano. Wobec tego Lalusia pozwalała sobie na największy luksus, jaki jedynie sława dać może, była szczerą. Mówiła naprzykład, że od ewolucyi twórczej Bergsona woli czekoładki Fruzińskiego i że dramaty Szekspira są dla niej niczem wobec Maksa Lindera. Żadna panna nie ośmieliłaby się powiedzieć czegoś podobnego, ale w ustach Lalusi brzmiało to oryginalnie i interesująco.

Tymczasem wydawca pisma humorystycznego domagał się następnego utworu i cała publiczność czekała drugiej bajeczki.

Chmura osiadła na twarzy Lalusi. Nagła a niespodziewana sława tak ją zaabsorbowała, iż najzupełniej zapomniała o tem, że polska satyra, która ona odrodziła, czeka, ażeby młoda poetka i w dalszym ciągu zasilała ją.

— Stać się sławną jest często przypadkiem, ale utrzymać się na tym poziomie... jak się utrzymać bez konceptu do bajki i bez żadnych innych koncepcyi literackich?! Z radą przyszła znowu ciocia Felicya.

— Lalu, nie martw się. Mam doskonały sposób.

Lala nic nie odrzekła, tylko spojrzała napoły boleśnie, napoły ironicznie. Wogóle od czasu sławy miała szereg min i gestów zupełnie pierwszorzędnych.

— Lalu, zmień „genre".

— Co ciocia mówi! Miałabym rzucić to, co było i jest wyrazem mojego twórczego ja — zawołała z oburzeniem Lala.

— Prawdziwy talent ma kilka genre'ów. Naprzykład Leonardo da Vinci.

— To może mam wstąpić do kabaretu? — zapytała nie bez odcienia entuzyazmu Lalusia.

— Nie dziecko. Wtedy musiałabyś zrezygnować z zamążpójścia.

Lalusia wzgardliwie uniosła ramiona. Była młoda i niedoświadczona, przeto wybaczcie jej, iż nie wiedziała, że jedna tylko ewentualność gorsza jest od własnego męża, to jest, gdy go się niema wcale.

— Więc ciociu?

— Napisz teraz coś poważnego: rozprawę filozoficzną, albo dramat, coś lirycznego lub erotycznego.

— Mój „pierwszy pocałunek" był fiaskiem.

— Lalu, któż pamięta pierwszy swój pocałunek.

— Czasem... — szepnęła napoły marzycielsko, napoły namiętnie (ten szept należał także do repertuaru sławy), a potem dodała głosem na podomu:

— To jest myśl, ciociu! Napiszę „Historyę płomiennego uścisku" i zadedykuję ją „Kochankom moim". To by było epatujące!

Ale doświadczona pani aptekarzowa rzekła:

— Jesteś zbyt sławną, by szukać sensacyi. Pomnij też, że i literatura i sława są środkiem do celu.

Lala ziewnęła w tem miejscu. Lecz ciocią niezrażona i trwając w swem posłannictwie, ciągnęła. — Daj coś z własnego życia, naprzykład miłość i zerwanie zaręczyn z Zygmuntem. Naturalnie zmienisz imiona, żeby się nikt nie domyślił... Ale nie o to idzie: życie sławnej osoby może być publiczną tajemnicą.

I stało się. Na talerzyku literackim podała Lalusia swe potłuczone serduszko. Kto je sklei? pytała autorka na ostatniej karcie.

Że znalazł się niejeden amator, każdy uwierzy. Nie dlatego, że Lala była ładna, młoda i miła. Te zalety posiadała Lalusia i wtedy, gdy ją odtrącił poeta, a nikt się nie pokwapił zastąpić go. Cierpienia codziennych kobiet są rzeczą niewartą zastanowienia, ale ból umiejscowiony w literaturze jest święty. A który z mężczyzn nie lubi blizkiego kontaktu z świętością.

Więc Lalusiu wybieraj.

I wybrała.

Wzamian za bezinteresowną miłość stanowisko pani doktorowej, pałacyk w alejach i podróż poślubną do Indyi — ofiarowała mu to, co miała najpiękniejszego — sławę...

KONIEC.

A ja sobie muszę...

...Przy obiedzie przez cały czas rozprawiano o drożyźnie, o braku artykułów żywności, złym gatunku prowiantów i t. d. Po kawie i cygarku, w gabinecie pana domu, gawęda przeszła na politykę, — w saloniku dotarła do sprawy polskiej...

W jednej chwili trysnęły różnice lat i przekonań.

Kazio, jedynak domowy, wraz z kuzyneczkami skoczył do pianina.

„Ksiądz mi zakazował — — —" — huknęły młode głosy...

Papcio momentalnie wpadł w irytacyę. Wuj, dopiero co z prowincyi przybyły, nie odrazu zoryentował się, o co chodzi...

Aż jedna z siostrzeniczek palnęła mu z mostu:

— Wujek z tamtej okupacyi i nie zna...?!

Ach, teraz wujek zna... Zna piosenkę!

Przy bliższem wyjaśnieniu okazuje się jednak, że i wujek, choć z tamtej okupacyi, jest politycznym przeciwnikiem — legionów. Co nie przeszkadza zresztą, że śpiew bardzo lubi i że chętnie pójdzie dziś wieczór z papą...

— Na *Królową* — — — podpowiada pochopnie domowy jedynak.

— Kinematografu nie lubię... — krzywi się wujaszek.

— Kiedy to w teatrze...

— A, to co innego. To owszem!

Pójdzie. Bo dziś jest zmęczony z drogi. Jutro, gdy wypocznie, wybierze się na coś „cięższego", patryotycznego... Ale dziś musi sobie — — —

Wsiadają z papą do dorożki — chłopak od szewca wśpiewuje im w sam środek budy:

„Żebym nie całował — — —".

Odpędzają go — ledwie im zdążył dośpiewać: „Mężatek...".

W teatrze wujcio ryzykuje uwagę:

— Pełniej bywało...

— Cóż chcesz: nędza...

— No, i wielki post...

— O tak: bardzo wielki!

Zamarudzili w drodze powrotnej. Dopadli knajpki — wraz za nimi zamknęły się już drzwi wejściowe. Z trudem łapią miejsce.

— Jak za naszych studenckich?... — mrugają do siebie, pławiąc słuch w gwarze, zaludniającym przepełnioną salę.

— Kielna, prrrosche noch — —

— Angielska go — — —

— Pfuj!!

— Mieszana dla pana porucznika?

— Se! Noch sechs mieschana!...

Papcio z wujciem siedzą godzinę, dwie, przejedli parę ładnych złotych — wstać im niesporo... Nastrój coraz lepszy!...

Muzyczka to smęci, to przytupuje naprzemian...

— Cygańskie! — wołają od stolika z rogu.

— Zuzanne!! — odkrzykuje wielki stół pod ścianą.

Na chwilę zatryumfowuje „Polska gospodarka": już jej nawet odśpiewują od stolików...

— Nie!! Uradować — — —

— Uradować duszę!!...

„Uradować!!!" krzyczy sala...

Piosenka posłusznie odzywa się z estrady. Pół sali wtóruje przygodnym chórem:

„Ksiądz mi za — — —".

Przy czwartym refrenie już i papcio z wujciem podrykują za innymi:

„A ja sobie muszę
Uradować duszę
We czwartek — — —".

Obeszli cały tydzień, znów zaczęli od poniedziałku i tak dwa, czy trzy razy wraz z całą salą...

Nazajutrz, obaj z wujciem, od czasu do czasu, ni stąd ni zowąd, wyrywali się półgłosem:

„A ja sobie muszę...".

Powstrzymywali się jednak w porę. Za to na boku, w sekrecie, obiecali sobie, że i dziś, po skończeniu sztuki patryotycznej, pójdą na chwilę „uradować duszę". Mój Boże, czasy takie podłe...

B. Gorczyński.

JAN SOKOLICZ-WROCZYŃSKI.

W kawiarni gwarze...

W kawiarni, matko, ten napiszę list,
bo w moim domu taka pustka głucha,
o szyby tłucze wiatru wściekły świst,
a skargi moje może noc podsłucha.

W kawiarni gwarze zginą skargi słowa,
ja je napiszę, a zrozumiesz ty —
posłuchaj, matko, noc taka deszczowa,
a mnie się wiosna, pełna kwiecia, śni...

Nadejdzie wiosna, och — wiem dobrze o tem...
może za miesiąc, a może za dzień —
nadejdzie, słońca całowana złotem,
przepychem strojna kwiatów, złudzeń, śnień.

Niejedno serce zadrga i zapłonie,
woń je upoi konwalii i bzów,
pochylą usta i splotą się dłonie
i najpiękniejsze z wszystkich padnie słów.

A ja, o matko, tą wiosenną porą
umaję kwieciem pustkę zimnych ścian,
i w niej ułożę duszę smutną, chorą
w jasnym szkarłacie krwawych, wiecznych ran.

A, może, ku mnie ktoś się roześmieje,
wyciągnie, może, białych dłoni kwiat;
o matko moja! sny, złudy, nadzieje
dawno minionych, zmarłych, zgasłych lat...

Przeszło. To tylko kawiarniane echa,
modnego walca miękki, senny czar,
tyle się oczu dokoła uśmiecha —
deszcz ciągle pada, a w kawiarni gwar.

O matko moja! już wierzyć nie mogę,
by szczęście kiedyś do mych przyszło bram;
wiem tylko jedno, że życiową drogę
przebywać muszę sam wiecznie i sam. —

Wiem jeszcze jedno, że czas niedaleki,
w którym podróży tej zobaczę kres;
a kiedy zamknę znużone powieki,
zakwitną w sadach konwalie i bez...

W kawiarni, matko, ten pisałem list...

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

BĄK.

11

POWIEŚĆ.

Profesor otworzył szufladę biurka i przewracając w stosie papierów, rzekł:

— Zdaje mi się, że mam tu jego policyjny rysopis. Pamiętacie, że gdy zbiegowie kryli się w górach, rysopisy ich były rozlepiane wszędzie, a ten... jakże się ten łotr nazywał?... aha! Spinola wyznaczył nagrodę za ich głowy.

— Przypomina mi się, że opowiadano nadzwyczajną historyę o Rivarez'ie z powodu tych rysopisów. Wyobraźcie sobie państwo, że wdział stary, żołnierski mundur i wędrował po okolicy, jako karabinier, zraniony podczas pełnienia służby i szukający swego oddziału. Natrafiwszy na łapaczy Spinoli, prosił ich, żeby go podwieźli, i cały dzień jechał na ich furgonie, opowiadając im niestworzone dziwy, jak go powstańcy schwytali i uprowadzili ze sobą w góry, i jak się straszliwie nad nim znęcali. Tamci pokazali mu jego własny rysopis, a on gadał im, co mu ślina na język przyniosła „o tym arcypsie, którego zwią Bąkiem". A w nocy, gdy się pospali, nalał im wiadro wody do prochu i umknął naładowawszy sobie kieszenie prowiantami i amunicyą.

— A! otóż i ten rysopis — przerwał Fabrizi, i czytał: „Felice Rivarez, przezwany Bąkiem. Wiek, około trzydziestu lat; miejsce urodzenia, i pochodzenie nieznane, prawdopodobnie Południowa Ameryka; z zawodu dziennikarz. Nizki; włosy i broda czarne; oczy błękitne; czoło szerokie, kwadratowe; nos, usta, podbródek..." Tak; nie omyliłeś się pan „Znaki szczególne: utyka na prawą nogę, lewa ręka wykręcona; brak dwóch palców u lewej ręki; świeże cięcie pałaszem na twarzy; jąka się". A tu przypisek, „Doskonale strzela; przy aresztowaniu należy zachować ostrożności".

— To nadzwyczajna rzecz, że potrafił oszukać oddział śledczy, z taką litanią znaków szczególnych, stwierdzających tożsamość osoby — zauważył ktoś.

— Ocaliło go właśnie to niepojęte zuchwalstwo. Gdyby na chwilę zaczęli go podejrzawać, byłby zgubiony. Ale on potrafi tak się ułożyć, że najbystrzejszego wyprowadzi w pole. Tedy, panowie, co myślicie o tym projekcie? Rivarez, jak się okazuje, znanym jest kilku osobom tu obecnym. Czy mamy odnieść się do niego i zażądać jego pomocy, czy nie?

— Sądzę — rzekł Fabrizi — że możnaby go wybadać, czy nasz projekt byłby mu po myśli, czy by go przyjął.

— O! to nie ulega wątpliwości, skoro chodzi o zwalczanie Jezuitów; to najzaciętszy wróg klerykalizmu, jakiego zdarzyło mi się spotkać; poprostu wścieka się na ich wspomnienie.

— Więc napiszesz do niego, Riccardo?

— Chętnie. Tylko, gdzie on się teraz obraca? Sądzę, że w Szwajcaryi. Niepoprawny z niego włóczykij. Nigdy na miejscu usiedzieć nie może. A co się tycze kwestyi broszur — —

Tu zawiązała się długa i ożywiona dyskusya. Gdy wreszcie towarzystwo zaczęło się rozchodzić, Martini przystąpił do milczącej, młodej kobiety.

— Odprowadzę cię do domu, Gemmo.

— Dziękuję, chciałabym porozmawiać z tobą o interesach.

— Czy co złego z adresami? — zapytał zcicha.

— Nic szczególnego; ale myślę, że czas zaprowadzić pewne zmiany. Dwa listy zatrzymano na poczcie w tym tygodniu. Nie było w nich nic ważnego i rzecz mogła być przypadkowa, ale nie możemy narażać się na niebezpieczeństwo. Jeżeli tylko policya powzięła najmniejsze podejrzenie co do naszych adresów, trzeba je natychmiast zmienić.

— Przyjdź w tej sprawie jutro. Dziś nie będziemy już rozmawiali o żadnych interesach. Wydajesz się zmęczoną.

— Nie jestem zmęczoną.

— Więc zgnębioną?

— O! nie; nie więcej, niż zawsze.

ROZDZIAŁ II.

— Pani w domu, Katie?

— Tak; proszę pana; ubiera się. Pan będzie łaskaw zaczekać w bawialni; pani wkrótce nadejdzie.

Katie wprowadziła gościa z wesołą uprzejmością szczerej dziewczyny z Devonshire. Martini był jej ulubieńcem. Mówił po angielsku, jak cudzoziemiec, oczywiście, ale nie mniej wcale znośnie i nie wysiadywał do pierwszej po północy, rozprawiając o polityce, gdy pani jej była zmęczona, jak to było zwyczajem niektórych innych gości. Co więcej, Martini przybył do Devonshire, by pocieszać jej panią i pomagać, gdy się na nią zwaliły wszystkie nieszczęścia; gdy dziecko jej umarło, a mąż dogorywał, i od tego czasu ten wysoki, niezgrabny, milczący mężczyzna stał się w oczach Katie „domowym", po trochu jak w pojęciach czarnego, leniwego kota, który teraz wskoczył mu na kolana. Kotów, imieniem Pasht, uważał Marini'ego za pożyteczny sprzęt. Gość ten nigdy mu nie nastąpił na ogon, nie puszczał mu tytuniowego dymu w oczy, ani w żaden sposób nie urażał jego wielce drażliwej, kociej indywidualności. Zachowywał się, jak człowiek powinien; miał zawsze kolano gotowe na jego przyjęcie; a przy stole nie zapominał nigdy, że gdy ludzie jedzą ryby, widok ten nie może być zajmującym dla kota.

Przyjaźń ich datowała się od dawna. Niegdyś, gdy Pasht był jeszcze małym kociakiem, a pani jego zbyt chorą, by o nim myśleć, przybył tu z Anglii w koszyczku pod opieką Martini'ego. Od tego czasu długoletnie doświadczenie przekonało go, że ten niezgrabny, człowieczy niedźwiedź nie był chorągiewką na dachu.

— Jak wam tu wygodnie obydwom — rzekła Gemma, wchodząc do pokoju. — Pomyślałby kto, żeście się usadowili na cały wieczór.

Martini zdjął ostrożnie kota z kolan.

— Przyszedłem wcześniej — rzekł — bo tak myślę, że dasz mi filiżankę herbaty przed wyjściem. Tam będzie straszny tłok, i Grassini nie pomyśli z pewnością o porządnej kolacyi, jak to zwykle bywa w tych eleganckich domach.

— Ejże — rzekła śmiejąc się — jesteś złośliwy, jak Galli. Biedny Grassini ma dość własnych przewinień na głowie, aby być jeszcze odpowiedzialnym za niedbałe gospodarstwo swojej żony. Herbata będzie za chwilę. Katie upiekła angielskich ciastek specyalnie dla ciebie.

— Katie to poczciwa dusza, nieprawdaż, Pash? Ale jak widzę włożyłaś tę ładną suknię. Bałem się, że zapomnisz.

— Obiecałam ci, że ją włożę, choć może trochę za ciężka na ten gorący wieczór.

— W Fiesole będzie chłodniej; a w niczem ci nie jest tak do twarzy, jak w białym kaszmirze. Przyniosłem ci trochę kwiatów do paska.

— Och! jakie przecudne róże! Ale wolę je włożyć do wody. Niecierpię nosić kwiatów.

— Otóż to jedno z twoich przesądnych dziwactw.

— Bynajmniej; tylko myślę, że kwiatom musi być bardzo przykro spędzić cały wieczór tak przyszpilonym do mojej nudnej osoby.

— Lękam się, że dziś wszyscy będziemy się nudzić.

— Dlaczego?

— Poczęści dlatego, że czegokolwiek tchnie się Grassini, to wnet staje się nudnem, jak on sam.

— Proszę cię, nie bądź złośliwym. To brzydko obmawiać kogo, gdy się do niego idzie w goście.

— Masz zawsze słuszność, Madonno. A więc będzie tam nudno.

dlatego, że większość zajmujących osób nie dopisze.

— Czemu?

— Nie wiem. Albo chorzy, albo nieobecni, albo co innego. W każdym razie będzie kilku ambasadorów, paru uczonych niemców i zwykły tłum idyotycznych turystów, rosyjskich książąt i literackich klubowców, kilku francuskich oficerów; pozatem nikt więcej. A! prawda, wyjąwszy nowego satyryka, który ma być atrakcyą wieczoru.

— Nowego satyryka? Jakto, Rivarez tam będzie? Ależ, zdawało mi się, że Grassini jest bardzo przeciwko niemu uprzedzony.

— Tak, ale skoro przyjechał i zaczynają o nim mówić, Grassini chce, żeby jego dom był pierwszem miejscem, gdzie się nowy lew ukaże. Możesz być pewną, że Rivarez nie słyszał o uprzedzeniach Grassini. Może się ich domyślać; jest na to dostatecznie bystry.

— Nie wiedziałam nawet, że przyjechał.

— Dopiero wczoraj. A otóż i herbata. Nie wstawaj; pozwól mi usłużyć sobie.

Martini nigdzie nie czuł się tak szczęśliwym, jak w tym małym saloniku. Przyjaźń Gemmy, jej poważna nieświadomość uroku, jaki na niego wywierała, jej serdeczne koleżeństwo były to najjaśniejsze punkty w jego życiu, które wcale zbyt jasnem nie było; to też, gdy czuł się bardziej, niż kiedykolwiek zgnębionym, przychodził tu po godzinach pracy i siadywał z nią, przeważnie w milczeniu, patrząc, jak szyła lub nalewała herbatę.

Ona nie wypytywała go nigdy o jego troski i nie wyrażała mu w słowach swego współczucia; on jednak wychodził od niej zawsze spokojniejszy i pokrzepiony, czując, że, jak to sam określał, potrafi znów „przekawęczyć parę tygodni".

Gemma, nie wiedząc o tem, posiadała rzadki dar pocieszania, i gdy przed dwoma laty najdroższi przyjaciele Martini'ego zostali zdradzeni w Kalabryi i gdy ich tam wystrzelano, jak wilków, jej wierna przyjaźń była może tem, co go uchroniło od ostatecznej rozpaczy.

Czasem, w niedzielę rano przychodził „mówić o interesach", co oznaczało wszystko tyczące się czynnego udziału w partyi Mazzini'ego, której oboje byli gorliwemi członkami. W takich chwilach Gemma była zupełnie inną istotą: chłodną, logiczną, przenikliwą, nawskroć ścisłą i nawskroś bezstronną. Ci, którzy widywali ją tylko przy politycznej robocie, uważali ją za dzielnego, wyćwiczonego sprzymierzeńca, pod każdym względem cennego członka partyi, któremu brak było tylko trochę życia i indywidualności. „Ta kobieta, to urodzony spiskowiec i nic więcej" mawiał o niej Galli. „Madonna Gemma", którą znał Martini, dla niewielu była dostępną.

— No, i jakże twój „nowy satyryk" wygląda? — zapytała, otwierając szafkę i patrząc przez ramię na przyjaciela.

— Patrz, Cezarze, tu są smażone owoce i lodowaty cukier dla ciebie. Ciekawa jestem, dlaczego rewolucyoniści tak są przeważnie łakomi na słodycze?

— I inni tak samo, tylko wstydzą się do tego przyznać. Nowy satyryk? O! to rodzaj człowieka, za którym kobiety zazwyczaj przepadają, ale który się tobie podobać nie będzie. To zawodowy kpiarz, który włóczy się po świecie, jak cygan z piękną baletnicą, uczepioną u poły jego fraka.

— Czy istotnie jest tam baletnica; czy też poprostu jesteś w złym humorze i chcesz być złośliwym?

— Boże uchowaj. Baletnica jest najrzeczywistszą rzeczywistością i w dodatku bardzo powabną dla tych, którzy lubią taką pikantną urodę. Ja w niej nie gustuję. To jakaś węgierska cyganka, czy coś w tym rodzaju, jak powiada Riccardo. Rivarez wynalazł ją w jakimś prowincyonalnym teatrzyku w Galicyi. No; ten się nie krępuje; włóczy ją ze sobą wszędzie i przedstawia ludziom, jakgdyby była jego niezamężną ciotką.

— Uważam, że to zacnie z jego strony, skoro ją zabrał z domu.

— Ty możesz się tak zapatrywać na to, Madonno droga, ale społeczeństwo nie. Jestem pewny, że wiele osób weźmie mu to za złe, że mu narzuca znajomość z kobietą, o której wiedzą, że jest jego kochanką.

— Skądże oni o tem mogą wiedzieć, skoro im tego nie mówi?

— To bije w oczy; zobaczysz, jeżeli ją spotkasz. Chociaż nie przypuszczam, aby miał czelność przyprowadzić ją do Grassini'ch.

— Nie przyjęliby jej. Signora Grassini nie jest tolerantką, gdy chodzi o towarzyskie wykroczenia tego rodzaju. Ale ja chciałam usłyszeć coś o panu Rivarez'ie, jako o satyryku, nie jako o człowieku. Fabrizi mówił mi, że pisano do niego i że się zgodził rozpocząć kampanię przeciwko Jezuitom; to są ostatnie moje wiadomości. Było tyle do roboty w tym tygodniu.

— Niewiele więcej mogę ci powiedzieć. Wiem tylko, że z kwestyą pieniężną nie było trudności, jak się tego obawiano. Rivarez ma się dobrze materyalnie i gotów jest pracować bezinteresownie.

— Więc posiada majątek?

— Widocznie; choć to się może wydawać dziwnem, po tem, co mówił Fabrizi, o stanie, w jakim go wyprawa Duprez'a znalazła. Ale jakoby ma on udziały w jakichś brazylijskich kopalniach, a przytem powodzi mu się świetnie, jako felietoniście w Londynie i w Paryżu. Rivarez mówi pół tuzinem języków, jakby każdy z nich był mu rodowitym, i nic mu nie przeszkodzi podtrzymywać stąd stosunki z dziennikami, do których pisywał. Napadanie na Jezuitów nie pochłonie mu wszystkiego czasu.

— Tak; to prawda. Ale już pora na nas, Cezarze. Wezmę zresztą róże. Poczekaj chwilę.

Pobiegła na górę i wróciła niezadługo z pękiem róż przypiętym do stanika i z długą, czarną, hiszpańską koronką, zarzuconą na głowę. Martini przyglądał się jej z artystycznem uznaniem.

— Wyglądasz, jak królowa, Madonno moja; jak wielka i mądra królowa Saba.

— Ach, jakże to niefortunny komplement — odparła śmiejąc się. — Wiesz przecież, ile trudu sobie zadaję, aby wyglądać jak przeciętna światowa dama. Spiskująca kobieta nie powinna wyglądać, jak królowa Saba. Taki wygląd może obudzić podejrzenia szpiegów.

— Nigdy nie zdołasz zrobić z siebie salonowej, bezmyślnej lalki. Ale mniejsza z tem. Jesteś zanadto ładną, by obawiać się szpiegowskich podejrzeń, chociaż nie potrafisz się mizdrzyć i chować za wachlarz, jak Signora Grassini.

— Proszę cię, Cezarze, zostaw tę biedną kobietę w spokoju. Zjedz oto kawałek lodowatego cukru, by sobie osłodzić humor. Czyś gotów? No, to jedziemy.

Martini miał słuszność, mówiąc, że wieczór będzie nudny. Literaci rozmawiali półgębkiem i mieli bezgranicznie znudzone miny, podczas gdy „tłum idyotycznych turystów i rosyjskich książąt" błąkał się po salonach, wypytując się wzajemnie o różne znakomitości i usiłując prowadzić inteligentne rozmowy. Grassini przyjmował gości z wykwintną, chłodną grzecznością, ale na widok Gemmy twarz mu się rozjaśniła. W gruncie rzeczy nie lubił jej, a nawet bał jej się trochę, ale rozumiał, że bez niej jego salon traci jedną z ważniejszych przynęt. Jako prawnikowi powodziło mu się świetnie; i teraz, gdy był bogatym, główną jego ambicyą było uczynić swój salon środowiskiem intelektualnego i liberalnego towarzystwa. Czuł to dotkliwie, że jego głupiutka, pretensyonalna żona, którą bardzo młodym będąc zaślubił, nie była odpowiednią na gospodynię wielkiego, literackiego salonu. To też ilekroć Gemma dała się namówić i wchodziła w jego progi, wiedział, że wieczór się uda. Jej pełne spokojnego wdzięku obejście oddziaływało sympatycznie na gości i sama jej obecność nadawała całemu zebraniu pewien wytworny ton, o który tak bardzo Grassini'emu chodziło, a w którym mu tak bruździła jego prawowita małżonka.

Signora Grassini powitała Gemmę z czułością, wykrzykując: „Jak ślicznie wyglądasz dzisiaj" i obejmu-

jąc jej białe kaszmiry zjadliwie krytycznym wzrokiem. Nienawidziła ją ona za to wszystko, za co Martini ją kochał, a więc za spokojną siłę charakteru, za prawość, za równowagę umysłu, a nawet za sam wyraz jej twarzy. A gdy Signora Grassini nienawidziła jakiej kobiety, okazywała jej to nadmierną czułością.

Gemma przyjęła uściski i wykrzykniki za to, co były warte, i przeszła nad niemi do porządku dziennego. Tak zwane „bywanie w świecie" było w jej oczach jednem z najcięższych i najnieprzyjemniejszych zadań, jakie spiskowiec musi sumiennie wypełniać, aby nie ściągnąć na siebie uwagi szpiegów. Stawiała to na równi z pisaniem cyfrowanym alfabetem, i wiedząc, jak cenną rękojmią przeciwko podejrzeniom jest opinia elegancko ubierającej się kobiety, studyowała żurnale z równą pilnością, jak klucze cyfrowanych alfabetów.

Znudzone i melancholijne lwy literackie rozpogodziły się nieco na dźwięk nazwiska Gemmy; cieszyła się ona wielką popularnością pomiędzy nimi, a zwłaszcza radykalni dziennikarze otoczyli ją zaraz. Ale Gemma była zbyt doświadczoną konspiratorką, by im się dać zmonopolizować, i wprędce uwolniła się od nich, przypominając im z uśmiechem, że nie potrzebują tracić czasu gwoli nawracania jej, skoro jest tylu turystów, którym się ich apostolstwo przydać może. Sama zaś zajęła się pewnym członkiem angielskiego parlamentu, którego sympatyę republikańska partya pragnęła pozyskać, a wiedząc, że jest finansowym specyalistą, zaczęła od zasiągnięcia jego zdania w pewnej technicznej kwestyi, tyczącej się kursu austryackich banknotów, poczem zręcznie zwróciła rozmowę na lombardzko-weneckie dochody. Anglik, który zląkł się, że popadł w szpony nudnej, błękitnej pończochy, popatrzył na nią z ukosa, a przekonawszy się, że jest ładną i zajmującą, zmiękł i wdał się z nią w poważną rozprawę o włoskich finansach, jakgdyby była Metternichem. A gdy Grassini przyprowadził jej jakiegoś francuza, który pragnął zapytać signorę Bollę o pewne szczegóły, tyczące się historyi „Młodych Włoch", członek Parlamentu wstał nieco oszołomiony z mętnem poczuciem, że może Włochy mają więcej powodów do niezadowolenia, niż on przypuszczał.

Nieco później Gemma wysunęła się na werandę pod oknami salonu i siadła odpocząć samotnie pośród oleandrów i kamelii.

Duszne powietrze i gwar snujących się po salonach tłumów przyprawił ją o ból głowy. W głębi werandy stał szereg palm i paproci w wielkich donicach ukrytych w kłąbach lilii i innych kwiatów. Ta roślinna zasłona tworzyła rodzaj parawanu, za którym krył się rozkoszny, wonny kącik, obwieszony granatami i pnącemi różami.

Gemma schroniła się do tego kątka, w nadziei, że nikt jej tam nie będzie szukał, i że cisza i spokój orzeźwią ją trochę. Noc była ciepła i pogodna; ale wyszedłszy z dusznej atmosfery salonów, uczuła, że tej trochę zimno i zarzuciła koronkowy szal na głowę.

Po niejakim czasie usłyszała na tarasie kroki, zbliżające się ku jej ustroniu i cienki, szczebiotliwy głos signory Grassini, rozmawiającej z jakimś towarzyszącym jej mężczyzną.

Ten drugi, męski głos był nadzwyczaj miękki i dźwięczny, lecz harmonijność jego psuła jakaś szczególna, mrukliwa, ciągnąca nuta, jakby z umysłu przybrana, by pokryć jakiś niedostatek wymowy, a w każdym razie bardzo nieprzyjemna.

— Angielka? powiadasz pani? — mówił ten głos. — Ale nazwisko jest włoskie... Bolla, wszak tak?

— Tak, jest wdową po biednym Giovanni Bolla, który umarł w Anglii przed czterema laty; nie pamiętasz pan? Ach! zapomniałam, iż pan prowadzisz takie koczownicze życie, że nie możesz wiedzieć o wszystkich męczennikach naszego nieszczęsnego kraju. Jest ich tylu!

Dalszy ciąg nastąpi.

Mistyka liczb.

Bardzo interesującym przyczynkiem do zrozumienia ogólnoludzkich przesądów jest wiara w liczby. Wiara ta w wiekach dawnych już głęboko zakorzeniła się w masach. Człowiek pierwotny z liczbą związywał pojęcie o przeznaczeniu swojem. Nie wszystkie jednak ludy jednakie miały pojęcie o liczbach. Indyanie brazylijscy i karaibi znali tylko liczbę 3, która też w ich słownictwie znaczy „wiele". U innych ludów pierwotnych panuje liczba 5 (ilość palcy u ręki); w Nowej Zelandyi liczbą taką jest 11, na Athosie 12, u Lei-Hakka w Chinach 14, u Celtów 20. U Sumeryjczyków i Babilończyków 60 znano jako największy wymiar, co odpowiadało wyliczeniom minut i sekund na zegarach. Zero zostało wynalezione na 400 lat przed narodzeniem Chrystusa Pana przez jakiegoś Bramina i znaczono je tłustem punktem. Arabi, którzy dopiero w 800 latach po Nar. Chr. P. zdobyli sobie ten system rachunkowy z Indyi, przełożyli indyjskie Sunya na As-sifr, co znaczy zero, liczba pusta.

Niektóre liczby cieszą się specyalną wziętością u poszczególnych ludów. W ziemiach chrześciańskich 3, 7 i 9 są popularne; u mahometan i chińczyków 5. Dr. Oskar Hovorka w dziele swojem „Duch medycyny" omawia specyalnie mistykę liczb, która spoczywała na fundamencie przesądu i jako taka decydowała o pewnych wyobrażeniach lekarskich. Wyobrażenia te stały rozumie się na poziomie ogólnego poglądu na świat i wiązały się z mądrością poznawczą ludów:

1 — twierdzi zawsze, że istnieje jeden Bóg, jeden Pan, jedna Głowa. Liczba ta w medycynie starożytnej wskazywała na prażródło wzniosłości i świętości, przez które człowiek może być uleczony.

2 — wyraża dualizm panujący w przyrodzie. Najwyraźniej występuje on w kulcie Ormuzda i Arymana.

3 — jest prastarą, świętą liczbą, którą już u Babilończyków znajdujemy w kulcie 3 róż, 3 grzechów śmiertelnych i t. d.

4 — jest, poza 7 i 12, świętemi liczbami Chaldejczyków — oznaką czterech węgłów świata, czterech proroków, czterech elementów, czterech temperamentów.

5—cieszy się w egipskim, indyjskim, chińskim i mahometańskm święcie specyalnym kultem. 5 uwiecznione jest na piramidzie Cheopsa. Chińczycy znają 5 organów: serce, nerki, żołądek, płuca, wątrobę. Krew odbywa pięć obiegów przez dzień. Chińczyk ujął wszechświat w pięć planet, pięć zmysłów, pięć barw, pięć zasadniczych tonów, pięć smaków. W Grecyi liczba pente służy za słowo zaklęcia przeciwko opętaniu przez dyabła.

6—jest podwójną kombinacyą 3 i bardzo rzadko bywa używane. W hebrajskiej kabale 6 znaczy wewnętrzną siłę przedmiotów i jest uważane za dobrą twórczą potęgę.

7—powstaje z 3+4, co znaczy połączenie Boga ze światem. Dla żydów liczba ta ma święte znaczenie. Na 7 dzień krytyczna mija chwila dla chorych na zapalenie płuc.

8—w kulcie Neptuna i Tezeusza zajmuje miejsce poczesne.

9 — powstaje z potrójnej liczby trzy i w medycynie starożytnej posiada głębokie, mistyczne znaczenie.

10 — jest bardzo poważane w pitagoreicznej fizyologii i terapii. W symbolice kabały żydowskiej 10 znaczy poznanie całej wiedzy i mądrości świata.

11—jest liczbą zasadniczą dla systemu 11 nowozelandczyków, którzy mają specyalne słowa na określenie 11×11=121, 11×11×11=1331. Podobna rzecz posiada zastosowanie i na Sumatrze.

12 — należy też do liczb używanych w systemach. Dwunastu apostołów, 12 pokoleń żydowskiego narodu, 12 synów Jakóba. W Grecyi i Rzymie czczono 12 głównych bogów. 12 nocy po Bożem Narodzeniu do Trzech Króli uważane są za szczęśliwe noce...

13 — liczba nieszczęśliwa. 13 znaczy śmierć według żydowskiego alfabetu.

14, 16, 18, 20 należą do liczb systemowych poszczególnych sposobów wyliczeń różnych narodów.

Liczb takich dałoby się zacytować bardzo wiele, ale te są podstawą wszystkich dalszych kombinacyi kabalistycznych i mistycznych. *H—L.*

Typy premierowe.

Premiery w teatrach warszawskich gromadzą zawsze jedną i tę samą publiczność. Spotyka się te twarze starannie wygolone i dyskretnie przypudrowane, przeważnie ziewające a jednak wytrwale prześladujące każdą nowość teatralną. Być na premierze, należy do warszawskiego szyku. Nudzić się zaś na sztuce trzeba — bo to znów jest życiowem zadaniem „kulturalnego" warszawiaka.

Piękne warszawianki spieszą też na premiery; w te wieczory można pokazać „wojenne" toalety, omówić, czy się kuzynce „ktoś nie trafia", gdy się ukłonił lub podszedł w teatrze. Ale poza tym światem towarzyskim również spotyka się kilka twarzy obcych a znanych, od lat wysiadujących fotele na premierach. Wytrwale robią one „tłum" w teatrze, statystują, jako wdzięczne tło do ukazywania się postaci znanych w świecie literackim, finansowym i naukowym.

Interesujące to typy. Bez cienia ambicyi usuwają się na plan dalszy, nie tłoczą, nie przygniatają gadatliwością w czasie przedstawienia. W milczeniu wysłuchają sztuki; nawet nie biją brawa. Siedzą wierni statyści i patrzą.

Siwiutka starsza dama w czepeczku. Staroświecka jakaś postać. Jak zwidzenie przeszłości, cicho patrzy na orgie czynowników rosyjskich na scenie, bez cienia też uczuciowości śledzi, jak wybuchają rakiety konceptów Shaw'a.

Kto zacz? W każdym teatrze zjawia się na premierze i zajmuje miejsce w trzecim, czwartym rzędzie. Z nikim się nie wita, sama zawsze przychodzi i wychodzi. Nie zwraca na nikogo uwagi...

Pytam zaciekawiony wilka premierowego, dyrektora Zalewskiego, czy zna tę damę?

— Lat dwadzieścia widuję ją na premierach. Kto to jest — nie wiem. Podobno jest... zamożna, bo siaduje zawsze w trzecim rzędzie. Była kiedyś nawet przystojna. I owszem...

Albo gentleman w niebieskawych szkłach na oczach. Lubi rząd dziesiąty, jedenasty. Cichutki jest i skromniutki. Zawsze w surducie. Podczas antraktów podnosi szkła do góry, nakłada na nos binokle i czyta jakieś świstki papierów. Specyalnie przytem honoruje teatr Rozmaitości. Dziwne —w jego wieku. Taka stałość przekonań. Komedyę zdradza niekiedy dla Opery — ale rzadko. W operetce i farsie nie bywa.

Woźni teatralni znają go doskonale w Rozmaitościach: Daje napiwki zawinięte w papier. Za palto też zawinięte ma w papier stałe dwadzieścia groszy.

I jeszcze jeden typ zgoła odmienny. Starsza, dama, zrobiona na brunetkę. Typ niebezpieczny. Zna wszystkich aktorów... co młodszych. Lubi się opiekować wschodzącemi gwiazdami. Zaprasza stale na kolacyę... choć zdaje się zawsze dostaje kosza. Jest wytrwała i nieubłaganie zamiłowana w premierach. Staje przeważnie w przejściu wraz ze swoją przyjaciółką. Robi śliczne oczęta i zachwyca się na głos:

— Jaki on przystojny. Chciałabym go poznać...

Czy poznaje? Wiesz zapewne, czytelniku, skoro bywasz na premierach. Nie zazdrość jej, czytelniczko, jeżeli nawet nie chodzisz do teatru na pierwsze przedstawienia. *Firlej.*

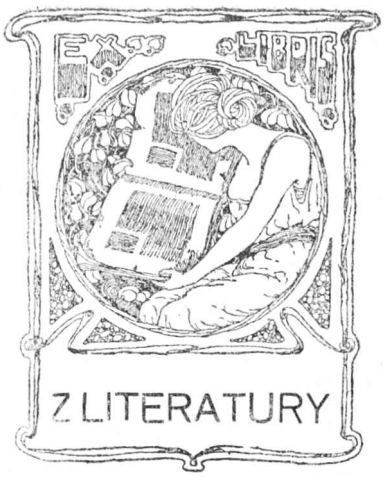

Rok 1863.

Wacław Horodyński wydał „Opisanie wypadków powstania 1863 r. przez ich uczestnika, dotychczas żyjącego". Broszurka ta jest interesująca ze względu na osobę p. W. Horodyńskiego oraz na przypomnienie działalności pertyzanckiej Włodka, Oborskiego, Szumlańskiego i Jarkowskiego. P. Horodyński komunikuje też ciekawy szczegół o Bolesławie Prusie, który walczył w oddziale Bielińskiego, w pierwszej zaraz potyczce otrzymał silną kontuzyę i utracił przytomność. P. Horodyński w walkach utracił oko. Za bitwę pod wsią Niewiesz między Prodębicami a Uniejowem dostał szarżę podoprucznika. Wspomnienia W. Horodyńskiego należą do twardych doświadczeń powstania styczniowego, jakie przechodziło wtedy całe pokolenie. Przeczytać je trzeba. Napewno obudzą w niejednym czytelniku opowieści ojców i krwią serdeczną przepoją słowa marzeń i łzy rozczarowań. Straszne lata! Wspominamy je ze czcią i hołd oddajemy zuchwałej waleczności leśnych rycerzy.

Cytadela—Sybir.

Drukarnia C. Chmielewskiego wydała ze wstępem p. St. Gackiego w formacie „kalendarzykowym" cykl pieśni i wierszy patryotycznych. W tytule zamknięto wyjaśnienie, że są to „Poezye — za czytanie których groziła Cytadela—Sybir". Cykl wierszy zawiera „Hymn Narodowy", pieśń o „Trzecim Maju", Chorał „Z dymem pożarów", mazurek „Jeszcze Polska nie zginęła" oraz cały szereg popularnych utworów, jak „Warszawiankę", „Pieśń katorżników" i „Krakowiaka Kościuszki". W zbiorek ten wpleciono ilustracye: portrety naszych bohaterów porozbiorowych oraz „Polonię" Styki.

Ustrój Rzeczypospolitej polskiej.

Młody a już zaszczytnie znany historyk, p. Józef Siemieński, wydał bardzo interesującą broszurę p. t. „Ustrój rzeczypospolitej polskiej" w wykładzie syntetycznym. Jest to zwięzły, dobrze opracowany rys rozwoju państwowości i społeczności polskiej. Linie rozwojowe nakreślił p. Siemieński przez umiejętne rozplanowanie wykładu: I Kształtowanie się ustroju polskiego, II Rozrost państwa przez unie, III Ustrój Rzeczypospolitej polskiej, IV Epoka zastoju i rozwoju, oraz V Odrodzenie. P. Siemieński, rozpatrując przyczyny zastoju w rozwoju wewnętrznym naszego uspołecznienia, twierdzi, że od pierwszej połowy XVII wieku do drugiej połowy wieku XVIII nasze prawodawstwo konstytucyjne ulega zastojowi wskutek lęku przed „absolutum dominium" i wskutek wichrzeń mocarstw ościennych, które swojemi „gwarancyami" przeszkadzały nam samodzielnie przeprowadzić jakąkolwiek reformę społeczną czy polityczną. „W obawie przed królem, szachuje się go niezależnością hetmana — dowódcy siły zbrojnej; w braku zaufania do podskarbiego coraz to uchwala się administracyę specyalną dla jakiegoś wpływu, obciąża władzę wykonawczą wogóle kontrolą a nawet ingerencyą stanów, słowem, osłabia się i tak już nie odpowiadającą nowożytnym potrzebom sprawności machiny państwowej". (Str. 33). Konfederacya barska przynosi dopiero radykalne dążenie do postępu, do wyjarzmienia się z „gwarancyi" i do reform, które nabiorą kształtu realnego w uchwałach Konstytucyi majowej. Broszura p. Siemieńskiego jest bardzo pożytecznym konspektem rozwoju państwowo - społecznego Polski.

Polski śpiewnik szkolny.

Znany dyrygent chórów, p. Piotr Maszyński, zebrał i ułożył „Polski śpiewnik szkolny". Dotychczas mieliśmy śpiewniki tego rodzaju w Galicyi — ale te w naszych stosunkach są nieodpowiednie ze względu na pieśni nam obce, które tam wysunięto na plan czołowy układu podręcznika. P. Maszyński natomiast zebrał tylko kompozycye twórczości polskiej. Dał obok piosenek ludowych hymny nasze narodowe, popularne arye z polskich oper. Wykład przystępny systematycznie wprowadza ucznia w coraz to bardziej skomplikowane tajemnice muzyki i śpiewu. Dla szkół naszych śpiewnik p. Piotra Maszyńskiego jest bardzo pożądanym podręcznikiem. Amatorzy śpiewu mogą też wiele z niego skorzystać. Szczególnie chórom rzemieślniczym i ludowym należy go polecić.

Zbiór ćwiczeń i doświadczeń z przyrody martwej.

Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. dra Józefa Mianowskiego wydano w opracowaniu pp. T. Męczkowskiej i St. Rychterówny „Zbiór ćwiczeń i doświadczeń z przyrody martwej". Zbiór ten jest bardzo pożytecznym podręcznikiem, gdyż postawił sobie za zadanie rozwijać w dziecku za pomocą doświadczenia zmysł spostrzegawczości i zdolność do myślenia. Poglądowe ilustracye pokazują, jak należy przeprowadzić doświadczenie, by dowiedzieć się, czemu dane ciało posiada te a nie inne właściwości, czemu w takich warunkach następują te a nie inne zjawiska fizyczne. Autorki mówią: „Przejrzystość celu, do którego ćwiczenie prowadzi bezpośrednio, narzucający się umysłowi ucznia wniosek — to główny cel każdego wybranego przez nas ćwiczenia". Dla szkół, jak i dla domu podręcznik ten może się stać pożądanym przewodnikiem w rozwijaniu świadomości dziecka.

Za pozwoleniem niemieckiej cenzury wojennej.

Klisze i druk wykonane w Zakładach Graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

Biblioteka K.U.L.